

Marta Kwaśnicka: Burza w Rzymie. Viltade (Pożegnanie Benedykta)

Jedna z błyskawic trafiła w cel – uderzyła w kopułę Bazyliki na Watykanie, co zelektryzowało opinię publiczną na całym świecie



Jedna z błyskawic trafiła w cel – uderzyła w kopułę Bazyliki na Watykanie, co zelektryzowało opinię publiczną na całym świecie

W poniedziałek, kiedy rezygnację podano do publicznej wiadomości, nad Rzymem przeszła wczesnowiosenna burza. Dopadła nas, kiedy wysiedliśmy z metra, aby odwiedzić bazylikę św. Pawła za Murami.

Padło już od niemal doby, teraz zaczęło błyskać, właśnie teraz, jakby Opatrzność chciała dać wydarzeniu apokaliptyczną oprawę. Niebo wygrażało ziemi bezgłośnie; błyskawice nie dosięgały ziemi, rozjaśniały tylko niebo na mgnienie oka, zalewając wszystko trupim blaskiem. W kościele nie było prawie nikogo. Spod sufitu spoglądały portrety wszystkich papieży w historii, snop światła wciąż wydobywał z ciemności tondo z portretem Benedykta XVI, na prawo, jak zwykle, majaczył wizerunek Jana Pawła II. Koło po lewej ciągle było puste.

Potem okazało się, że przynajmniej jedna z błyskawic trafiła w cel – uderzyła w kopułę Bazyliki na Watykanie, co zelektryzowało opinię publiczną na całym świecie. Zwykle taki grom nie zdziwiłby nikogo, bo kopuła Piotra to najwyższy punkt w okolicy, ale w tym wypadku znaki wiązano powszechnie z decyzją papieża, pierwszą rezygnacją z tronu Piotrowego od 600 lat i jedną z niewielu w ogóle. Wieczorem telewizja Rai co kilka minut prezentowała zdjęcie tego gromu: kopuła Bramantego na tle nocnego nieba, trafiona jaskrawym biczem Bożym. Do tego Tyber był wezbrany, mętny i pędził na oślep, pienił się i bulgotał wokół przęsł trawertynowych mostów, rzucał się na nabrzeża Wyspy Tyberyjskiej. Ale pocieszałam się, że to pewnie jak zwykle na wiosnę; że wszystko idzie normalnym torem, nawet jeśli z pozoru wydaje się być inaczej.

Wróciliśmy do hotelu zmoknięci i przemarznięci. Susząc włosy, włączyłam telewizor. Włoskie stacje poświęciły Benedyktowi XVI niemal całą wieczorną ramówkę. Dziennikarzy i świeckich watykanistów najbardziej niepokoiło to, co papież napisał w swojej rezygnacji: *ad navem Sancti Petri gubernandam et ad annuntiandum Evangelium etiam vigor quidam corporis et animae necessarius est, qui ultimis mensibus in me modo tali minuitur, ut incapacitatem meam ad ministerium mihi commissum bene administrandum agnoscere debeam*; do kierowania Łodzią Piotrową i głoszenia Dobrej Nowiny

potrzebny jest wigor duchowy i cielesny, a ten w ostatnich miesiącach zmniejszył się we mnie tak bardzo, że przestałem być pewien, czy jestem zdolny do dobrego pełnienia powierzonego mi zadania.

- Decyzja nie ma związku z żadną chorobą – mówił nocą w Rai Due rzecznik Stolicy Apostolskiej, ks. Federico Lombardi (chwilę wcześniej był w Rai Uno i mówił to samo). – Raczej z osłabieniem fizycznym czy nawet czymś bardziej głębokim, osłabieniem osobowości, które uniemożliwia Papieżowi kierowanie Kościołem z taką energią, jaka, jego zdaniem, jest do tego potrzebna.

Ale to nie uspokoiło zgromadzonych w studiu. Papież bez sił, papież o osłabionej osobowości – to prawie jak papież bez wiary, to jak sól, która straciła smak, nic dziwnego, że przyroda była wzburzona, a grom trafił w kopułę Bramantego. Przecież trwanie na takim stanowisku to kwestia sumienia. I w dodatku zrobił to Benedykt, właśnie ten niezłomny, ten żelazny, pancerny, co miał stać na przeciw bram piekielnych i bronić dostępu do Kościoła, po którym nikt nie spodziewałby się dezercji. I oto osłabł, odwrócił się, opuścił stanowisko. Niektórzy komentatorzy złościli jak Dante na Celestyna V w III pieśni “Piekła” (Celestyn był teraz na ustach wszystkich): mogłem rozpoznać tego i owego. W końcu dostrzegłem i cień osoby, która ze strachu splamiła się ową słynną odmową. Ze strachu, nikczemności i małoduszności, bo to znaczy słowo, którego użył Dante: *per viltade, che fece per viltade il gran rifiuto*.

Wcale nie pomagał fakt, że Kościół wyniósł Celestyna na ołtarze, nie dzielając diagnoz poety; że słabość, zwłaszcza ta wynikająca ze starości, jest wkalkulowana w każdą posługę, a kodeks prawa kanonicznego od dawna przewiduje taką możliwość. Decyzja Benedykta była bardzo odważna, szła wbrew kilkusetletniej tradycji. Nie musiał heroicznie walczyć z umieraniem na oczach tłumów, jak Jan Paweł II,

mógł przecież, czując osłabienie starości, ograniczyć swoje obowiązki do minimum i trwać na stanowisku dla świętego spokoju, pozwalając Kościołowi dryfować w dowolną stronę. Jego heroizm był inny, polegał na uznaniu swojej niemocy. Nie byłam już pewna, czy jego łamiący się w niedzielę głos był efektem zmęczenia czy zbieraniem sił przed swoim wielkim wystąpieniem, bo tekst rezygnacji, co pokazały wszystkie stacje telewizyjne, przeczytał pewnie i zupełnie spokojnie. Benedykt chciał teraz osiąść we wspólnotce klauzurowej na Watykanie i doczekać swoich dni w odosobnieniu, na rozważaniach, pokucie i modlitwie. Wiadomo było już, że opuści swoje apartamenty ostatniego dnia lutego i na czas konklawe wyjedzie z Rzymu, zostawiając kardynałom wolną rękę, nie wpływając na wybór następcy. Potem na Watykanie mieli mieszkać dwaj papieże i żaden nie miał być antypapieżem, ani ten w słynnych apartamentach z widokiem na Plac św. Piotra, ani drugi, drobny staruszek we wnętrznościach Państwa Kościelnego, w klasztorным odosobnieniu.

CDN.

Marta Kwaśnicka

Więcej tekstów autorki na jej blogu